

# Kamena

NR 15 (913)

24 lipca 1988

Cena 35 zł

## Bez klaki

# Komuś bije dzwony

**T**AKIE historie są nieśmiertelne: o Kocpiuszkach, którego salonowe predyspozycje wczesniej czy później znajdują ujście na okolicznych balach i utwierdzają się korzystnym mariażem; o amerykańskim pucybutcie, zostającym milionerem; o białej niewolnicy, która kiedyś i tak swojego szczęścia dochodzi; o tkliwym pojednaniu matki z przeszłością i córki po przejściach... Ale można je wszystkie między bajki włożyć.

Bo naprawdę to w życiu bywa inaczej. Na przykład jest przyjęcie w domu znanego chirurga, w którym uczestniczy nie mniej znany reżyser. I już ta prosta sytuacja kryje ogrom dramatu ludzkiej egzystencji. No bo tak, reżyser wyraźnie nie lubi pana domu, a gospodyni, którą jest żona lekarza, nawet nie rozpoznaje. Doktorowa też się nie domyśla, kim jest prestiżowy gość. Cóż z tego wynika? Ano — żona kura domowa, mąż tyran, bo nawet listy zaproszonych jej nie przedstawił, nie mówiąc o wstępnej konsultacji, a późniejszej prezentacji osobistej. Na dodatek wszyscy wyraźnie się nudzą — przyszli w imię robienia układów w mieście. W tej sytuacji popijany koniak też wydaje się pochodzić z „dowodów wdzięczności”. Samo życie.

A później tak: gospodyni, czyli ciało młodej kobiety, poskładane po wy-

padku przez sławę medyczną, następnie poślubione przez wybawcę w wieku i profesji doktora Wilczura, po czym więzione w „sterylnej izolacji domowego zacisza”, obdarzone zostaje tęsknotą artystyczną. Dzieje się to za sprawą reżysera, który jest jak Rett Butler — brutalny acz urwodzielski. Co lekarz zrobił z ciałem, składając rozbite szczątki w atrakcyjną kobietę na kształt Stefani Harper, to wrażliwy mężczyzna uczynił z jestestwem. W zapędach urwodzielskich wprowadził ją jednak do światy sztuki, co bardzo pokłoniło swobodę zachowań obydwójga i cały czas pozostali na pan—pani. On, obejmując natychmiast rolę kapłana, pozyskuje zatem jeszcze jedną wyznawczynię, tym żarliwszą, że „naturalistyczkowską”.

A ponieważ nie jest to historia dydaktyczna, pokazująca zaangażowanie w pracę zawodową, które się przejawia w nieustannym poszukiwaniu talentów (z warsztatem aktorskim lub bez) ani też nie jest to opowieść przesłodzona — wplata się wątek przeciwności losu. Przychodzi czas na ły. Wdrażana do zadań dramatycznych doktorowa doznaje wrażeń słuchowych i wychwytuje uchem, co tak w duszy gra, pobudzone oryginalną symboliką dzwonów, i chcąc biec za głosem powo-

łania, napotyka doktorowa barierę, która cieniem legła w poprzek oplanianej sławą drogi. Jest to bliżej nieokreślona jednostka chorobowa, coś jakoby przypadłość nóg, bo jak bohaterka zdejmując szpilki albo kończy obsługiwac gości na przyjęciu, to siada w wózku inwalidzkim, a w szesnastce lat po operacji nawet mdleje. Cóż to jednak za przeszkoda wobec prawdziwego powołania!

Ażeby nikt nie myślał, że to „Smak miłości i łez” albo jakaś inna „Trędownata” i w ogóle coś de mode, to proszę sobie wyobrazić łozy artystycznego tandemu w fowistycznie agresywnych plamach światła — w ostrym fiolecie, jakby symbolu zawzięci wobec telewizji, z akcentem żywej zieleni, niczym nadziei na triumf prawdziwej sztuki. Przy następnej premierze.

Magdalena Jankowska

Państwowy Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Giennadij Mamlin: „Dzwony”; przekład: Jerzy Koenig. Reżyseria: Tadeusz Kijański. Asystent reżysera: Jerzy Jasiński. Scenografia: Janusz Kijański. Asystent scenografa: Ireneusz Salwa. Muzyka: Andrzej Korzyński. Wykonawcy: Ewa Berowik, Zdzisław Wardejn. Premiera — czerwiec 1988.

